

# Michał Kulczycki, Jerzy Szczęsny

---

## Trudna sztuka sądenia

---

Palestra 27/5-6(305-306), 40-48

---

1983

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## TRUDNA SZTUKA SĄDZENIA

Z sędzią Michałem Kulczyckim rozmawia Jerzy Szczęsny

*J. Sz.: Adwokaci uważają Pana za jednego z najlepszych sędziów w Polsce. Jak Pan sądzi, dlaczego?*

M. K.: Wie Pan, pytanie jest nieco dla mnie żenujące. Poza tym trudno mi jest zgodzić się z Pańską oceną, gdyż kryteria...

*J. Sz.: To nie jest moja ocena. Wyrażają ją adwokaci, a jej notoryczność sprawia, że potraktujmy ją, mając na uwadze cel tej rozmowy, jako fakt.*

M. K.: Cóż, źródła tych — nazwijmy to precyzyjniej: pochlebnych — opinii upatrywałbym we wzajemnym szacunku i zaufaniu. Chciałbym powiedzieć, że w ciągu trzydziestoparoletniej pracy w Gmachu Sądów na Świerczewskiego, gmachu, w którym spędziłem najlepsze lata mojego życia wśród blasków i cieni zawodu sędziowskiego, w ciągu tych, powtarzam, trzydziestu trzech lat za jeden z podstawowych kanonów tego zawodu uważałem równość stron. A więc zarówno adwokata jak i prokuratora traktowałem jako równych partnerów wobec nich samych i wobec mnie. Stąd, być może, ów szacunek i zaufanie stworzyły klimat, który sprawia, że na wstępie raczy mnie Pan tego rodzaju komplementami. Zresztą przypuszczam, że nie jestem tu jakimś szczególnym wyjątkiem, że ów szacunek i zaufanie adwokaci mają do wszystkich sędziów orzekających w tym gmachu.

*J. Sz.: Zaręczam Panu sędziemu, że nie, choć panuje tu również pewna notoryczność. Każdy człowiek czynny zawodowo ma jakiś ideał swojego zawodu. Co to znaczy być dobrym sędzią?*

M. K.: Czy sądenie jest zawodem? Mam tu pewne wątpliwości. Mówienie o powołaniu — a ja to tak odczuwam — może być nieco górnołotne w naszych warunkach, może więc lepiej mówić o funkcji. Moim zdaniem funkcję tę — znów nie sposób uniknąć jakby sloganu — społeczną spełniać należy w zgodzie z dobrym, pozytywnym oczekiwaniem społeczeństwa i jednocześnie w sposób satysfakcjonujący mnie samego. Przez satysfakcję w orzekaniu rozumiem wydawanie takich wyroków, które pozwolą mi być w zgodzie z własnym sumieniem, własnym sercem i własnym poczuciem sprawiedliwości. Być dobrym sędzią to być w zgodzie ze światłym społeczeństwem i swoim sumieniem. Oczywiście, jest to bardzo ogólne, co mówię, zwłaszcza że zdarza mi się wydawać wyroki, które powierzchownie oceniająca publiczność krytykuje, ale generalnie to chyba jest właśnie tak. Przy czym sumienie jest tu jakby ważniejsze. Dobry sędzia ma świadomość, że wyrokując nie załatwia kolejnych numerków sądowych, ale coś tworzy, coś buduje, coś kształtuje. To może brzmie pompatycznie, ale tak właśnie czuję.

*J. Sz.: To brzmi nie tyle pompatycznie, ile bardzo jest odległe od popularnego wizerunku sędziego w Polsce. Funkcja sędziego oceniana jest jako zawód właśnie, a nie jako powołanie, w którym jest wiele miejsca na dylematy moralne czy prawne. Sędzia w oczach obiegowych opinii to bardziej mechanizm załatwiający numerki z długiej wokandy niż człowiek, który ma wątpliwości. Z drugiej strony w tle kadru z wizerunkiem sędziego wszystko jest dobre. Tymczasem istnienie rozdziału między niektórymi wyrokami a poczuciem prawnym społeczeństwa. Samo prawo — właśnie owo tło — jest przecież niedoskonałe, więc nawet, jest często sprzeczne z zasadami społecznej moralności. Ludzie mają dość podobny archetyp sędziego jak ten, o którym Pan wspominał, ale sądzę, że rzeczywistość prawna utrudnia jego urzeczywistnienie.*

M. K.: Każde uogólnienie zawiera w sobie możliwość błędu, pomyłki w odniesieniu do poszczególnych sytuacji faktycznych, kazusów. Te dylematy na pewno istnieją, jak również i ten rozdzźwięk zachodzący czasami między społecznym poczuciem sprawiedliwości a wyrokami, jakie ferujemy. Nie może być tylko rozdzźwięku między naszymi wyrokami a prawem. To przecież jeden z kanonów tego zawodu. My też wiemy, że prawo jest niedoskonałe, niedobre czy niekiedy wręcz niezgodne z poczuciem sprawiedliwości społeczeństwa, jak np. nasze ustawodawstwo dewizowe, które — mówiąc eufemistycznie — odstaje od realiów życia kształtowanego w sposób oficjalny. Te wszystkie czynniki mogą powodować różnice między wizją a ideałem. Mówił Pan o pewnym wizerunku sędziego w społeczeństwie. Ja myślę, że są różne wizje. W społeczeństwach o innej niż nasza kulturze prawnej, np. w Anglii, gdzie prestiż sędziego jest nieporównanie większy, też pewno nie ma jednolitego wizerunku sędziego w opinii publicznej. Poza tym opinie i sądy w tym względzie kształtują się w zależności od tego, z jakiej pozycji patrzy się na wyrok, sąd i sędziego. Te nasze krwawe „babie sądowe”, które przed wyrokiem domagają się publicznego wieszania, nagle zmieniają zdanie, gdy wnuczek usiądzie na ławie oskarżonych, i upominają się wówczas o humanitaryzm, tolerancję itp. Jak się mają te obiegowe wizerunki do tego, co na temat tej funkcji czy powołania mam do powiedzenia? Wydaje mi się, że ja stosunkowo częściej wypowiadam się na ten temat od moich kolegów sędziów, ale gdyby Pan ich zapytał, mieliby podobną wizję ideału. My, sędziowie, za mało robimy, aby to nasze jednak posłannictwo było w społeczeństwie należycie docenione.

*J. Sz.: A czy zależy to tylko od Was samych?*

M. K. Oczywiście nie. Wiele zależy od samego społeczeństwa, od władzy, od warunków, w jakich żyjemy i orzekamy, tych materialnych i niematerialnych. Ale chyba wiele zależy od nas samych.

*J. Sz. Zacytuję Panu opublikowaną onegdaj wypowiedź jednego sędziego w średnim wieku: „Po kilku latach sumienie nam urzędniczeje”. Ta diagnoza przeczy Pańskim wywodom, nawet jeśli — patrząc na Pana — nie chciałbym jej zupełnie generalizować.*

M. K.: Nie zgodzę się z tą wypowiedzią. To chyba była jakaś swoista kokieteria. „Urzędniczeja”, jeśli można użyć tego słowa, być może nasze odczucia i emocje, ale nie sumienie. Jeśli ktoś chce być sędzią z prawdziwego zdarzenia, to sumienie mu nie „urzędniczeje” ani po roku, ani po pięciu czy trzydziestu latach. Reakcje mogą być inne w pierwszym czy w piętnastym roku pracy, inaczej się przeżywa — być może — pierwsze wyroki, inaczej, gdy się już ich wydało setki. Choć muszę Panu powiedzieć, że obserwuję w sobie, i nie tylko w sobie, dziwne zjawisko. Niech mi Pan wierzy, że za każdym razem, gdy mam wyjść z pokoju narad i ogłosić wyrok, czuję jakiś ucisk w sercu i drapanie w gardle.

*J. Sz. Czyli posłannictwo to byłby m.in. brak rutyny?*

M. K. Tak. W sądeniu rutyny być nie może. Może ona występować i pomagać w znajomości procedury, prawa, ale sumienie nie może być zrutynizowane. Rutyna w sądeniu przeszkadza, chociaż zdarzają się sędziowie, którzy nie mogą się jej oprzeć. Prezes naszego Sądu Józef Wieczorek mówi, że ludzie, którzy lubią skazywać i robią to rutynowo, nie powinni być sędziami. Wydaje mi się, że u prawdziwych sędziów nie ma niebezpieczeństwa „rutynizacji sumienia”.

*J. Sz. Sędzia nie powinien „polubić” skazywania, tak jak obrońca obrony, a prokurator oskarżania?*

M. K. Absolutnie nie. Sędzia musi lubić sprawiedliwe wyrokowanie, a nie ska-

zywanie. Ktoś, komu przyjemność sprawia skazywanie, nie powinien być sędzią.

*J. Sz.* W tworzeniu ethosu dobrego sędziego nie pomagano u nas szczególnie, choć wydaje się, że wartość publiczna tego zawodu czy powołania jest zupełnie szczególna.

*M. K.* Nie pomagano i nadal się nie pomaga.

*J. Sz.* Sędzia jest anonimowy. Tak zresztą jak obrońca czy prokurator. Poza kilkoma nazwiskami sędziów — w tej liczbie i Pana — które wymieniane były w prasie przy okazji wyroków, opinia publiczna nie indywidualizuje werdyktów z konkretnymi osobami. Pan jest tu rzadkim wyjątkiem, którego wyroki określone są wręcz: „wyrok Kulczyckiego w sprawie np. Bielaja”. Kto dziś kojarzy zawód sędziego z nazwiskami Anieli Popowicz, Jerzego Zabki czy nieżyjących już Jadwigi Borowskiej lub Jana Szlązkiewicza? A przecież byli to jedni z wielu sędziów, którzy ratowali godność zawodu w trudnych czasach. Choć może ta anonimowość jest zamierzona? Może chodziło o to, aby zdepersonalizować niektóre wyroki? W końcu Melchiora Wańkowicza skazało trzech sędziów. Sądzę jednak, że nie jest dobrze, jeżeli sędziowie, podobnie jak adwokaci i prokuratorzy, pozostają anonimowi. Personifikacja jest w tym wypadku elementem kontroli społecznej nad wymiarem sprawiedliwości.

*M. K.* Nie chcę oceniać konkretnych wyroków, chociaż wydaje mi się, że o sędzie mówi się przede wszystkim wtedy, kiedy się ma pretensje czy pseudopretensje do wyroku. Natomiast gdy wszystko jest w porządku, gdy rozstrzygnięcie poszczególnego sędziego zgadza się z oczekiwaniami i odczuciem sprawiedliwości, to wówczas może nie ma potrzeby publicznego obnoszenia się z trafnymi werdyktami i ich autorami. Stąd w opinii, publicystyce czy plotkach pojawiają się przykłady negatywne. Bo — powtarzam — jeśli wszystko jest dobrze, nie ma potrzeby epatowania opinii osobą sędziego. Czy to jest dobrze, czy źle? Trudno mi tu wypowiedzieć kateryczne zdanie, choć z drugiej strony ustawodawca przewiduje przecież indywidualizację naszej pracy choćby w postaci zapisu składu sądu w wyroku.

*J. Sz.* Ale jest on najczęściej znany tu, na Świerczewskiego.

*M. K.* Tak... Chyba więc warto pokazać konkretnych uczestników postępowania.

*J. Sz.* Byłoby to chyba z korzyścią dla sądu i obrazu jego pracy, gdyby trochę „uczłowieczyć” informację o wyrokach i zamiast sakramentalnego „Sąd skazał (...)” pisać np. „Sąd pod przewodnictwem sędziego X skazał, uniewinnił (...). Oskarżał Y (...). Bronił Z (...)”.

*M. K.* Z pewnością, choć bałbym się tu naszej przysłowiowej zawiści. Dlaczego prasa wymieniła wyrok sędziego A, a nie sędziego B? Dlaczego reklamuje się tego obrońcę, a nie innego? Wie Pan, jest to jakby druga strona tej — w istocie swej — słusznej propozycji. Już widzę podejrzenia o ciągoty do reklamy.

*J. Sz.* Reklama dobrych wzorów nie jest chyba naganna?

*M. K.* Gdyby tylko skoncentrować się na dobrych wzorach, bałbym się tej naszej przysłowiowej polskiej zawiści. Ja dosyć dużo, jak na środowisko sędziowskie, współpracowałem z prasą. I lubiłem tę współpracę. Nie czyniłem tego bynajmniej z potrzeby reklamy, ale z poczucia, że mam coś do powiedzenia ludziom. I, niestety, spotkałem się z zarzutem uprawiania reklamiarstwa.

*J. Sz.* Zarzut niepoważny, bo czyż bez przyczyny dziennikarze zwracali się akurat do Pana?

*M. K.* Niepoważny, ale realny.

*J. Sz.* Zналиśmy obaj sędziego Szerera. Wie Pan, sądę, że jego działalność publicystyczna miała ogromny wpływ na kulturę prawną społeczeństwa i gdyby

odebrać sędziemu Szererowi jego dziennikarskie potyczki, to obraz tego sędziego, właśnie jako sędziego, byłby wielce zubożony.

M. K. Oczywiście. Trudno nie zgodzić się z poglądem, że my, sędziowie, powinniśmy więcej dbać o ukazywanie istoty naszej pracy i robić to w miarę osobiście. Jako sędziowie poza wyrokowaniem powinniśmy pewne rzeczy społeczeństwu mówić wprost. Dla mnie jest to zupełnie jasne.

J. Sz. Oprócz wizerunku dobrego sędziego w opinii publicznej istnieje taki wizerunek także u tych, od których zależy awansowanie sędziów. Zdaję sobie sprawę, że Panu sędziemu trudno na ten temat mówić, ale pozwoli Pan, że skonstatuję powszechnie zauważany fakt: krytykę polityki awansowej. Mówi się o tym w środowisku sędziowskim. Wiele anomalii ośnótowują tu adwokaci. Nie tak dawno poddana została druzgocącej krytyce procedura mianowania sędziów Sądu Najwyższego, jak również ustawa o Sądzie Najwyższym. Wypowiadali się tu m. in. sędziowie Sądu Najwyższego, którzy krytykowali w zasadniczy sposób szereg unormowań w ustawie o sądach powszechnych. Z punktu widzenia środowiska sędziowskiego, i nie tylko tego środowiska, sprawa dojrzała do radykalnej reformy sądownictwa w duchu jego samorządności, służącej pełnemu zagwarantowaniu niezawisłości. Pan sędzia w samorządzie sędziowskim działa od dawna. Nie ma co ukrywać, że samorząd ten nie jest takim samorządem, jakim mógłby i powinien być. Co się dzieje z wszystkimi wczorajszymi pomysłami samorządności sędziowskiej i nowelizacją ustawy o ustroju sądów powszechnych?

M. K. W końcu 1981 r. był już gotowy projekt nowego prawa o ustroju sądów powszechnych, projekt będący wynikiem prac powołanego jeszcze przez min. J. Bafię zespołu ekspertów do opracowania zasad samorządu sędziowskiego. Brałem aktywny udział w pracach tego zespołu. Po wprowadzeniu stanu wojennego sprawa uległa zwłoce. W tym czasie został opracowany nowy projekt, odmienny trochę od tamtego, choć i w tym ostatnim projekcie sprawa samorządu jest podobno mocno wyeksponowana. Mówię podobno, gdyż jeszcze nie czytałem tego projektu i moja wiedza o nim sprowadza się do tego, co usłyszałem. Myślę, że sprawa samorządu jest doniosłą sprawą. Nie tyle nawet dla niezawisłości sędziowskiej, bo z tą niezawisłością nie jest tak źle, jak się to w obiegowych opiniach słyszy. Natomiast sprawa samorządu będzie miała ogromne znaczenie dla poczucia niezawisłości. Ja tu wyraźnie rozróżniam dwie rzeczy: niezawisłość jako instytucję konstytucyjną, ustawową, oraz poczucie niezawisłości, jakie każdy z nas, sędziów, musi nosić w sobie. I samorząd ma być właśnie jednym z tych filarów, na którym chcielibyśmy oprzeć indywidualne poczucie niezawisłości sędziego. Poza tym sprawa samorządu jest właśnie sprawą — mówiąc tym okropnym żargonem urzędowym — polityki kadrowej w wymiarze sprawiedliwości. W tym ostatnim projekcie podobno jest szereg rozwiązań wychodzących naprzeciw również tym postulatam i tej krytyce mówiącej, że z polityką awansową, nominacjami nie było zawsze tak, jak by sobie tego życzyło środowisko sędziowskie. Nie tylko zresztą sędziowskie, bo i adwokackie, i w ogóle prawnicze.

J. Sz. Nie tylko prawnicze. Oczekiwania światłej części społeczeństwa są tu znane i dość jednoznaczne.

M. K. Rozwiązania idą chyba właśnie w tym kierunku. Samorząd zapewnić może środowisku sędziowskiemu rzeczywisty, realny wpływ na politykę kadrową, poczynając od doboru aplikantów, co jest nie docenianą, choć bardzo istotną sprawą, gdyż tu jest przecież początek, tu jest to ziarno... W sądzie warszawskim doceniono

już tę sprawę i dobór aplikantów odbywa się z udziałem członków kolegium i komisyjnie.

*J. Sz. Mówi się, że dostanie się na aplikację sędziowską jest konkursem protekcji.*

M. K. Przesada, chociaż nie mogę wykluczyć, że takie wypadki zdarzały się — chodzi o to, aby zapewnić środowisku sędziowskiemu wpływ od początku — poprzez całą drogę awansową w naszej hierarchii służbowej — aż do powołania na sędziów Sądu Najwyższego włącznie. Nie wiem, czy to w projekcie przeszło, ale przed grudniem postulowaliśmy rozwiązanie, według którego kandydatów do Sądu Najwyższego co najmniej ma opiniować środowisko danego kandydata, a więc np. kolegium czy zgromadzenie ogólne sędziów. Wszystko wskazuje na to, że ustawa będzie uchwalona, chociaż nie wiadomo kiedy, i mam nadzieję, że te wszystkie krytyki i postulaty będą wzięte pod uwagę i rozważone przez Sejm.

*J. Sz. Ma taką nadzieję i adwokatura, gdyż bulwersujące były praktyki w tym zakresie. Na Zjeździe Adwokatury w Poznaniu postulat respektowania zasady, że nominacje i awanse sędziowskie powinny być zależne od poziomu orzecznictwa sędziowskiego i jego wiedzy fachowej, był podnoszony wielokrotnie. Mijmy więc nadzieję, że pod rządami nowej ustawy kryteria ocen i awansów sędziowskich nie będą wymagaty pozaustawowych uzupełnień.*

Panie sędzio, poza polityką awansową istnieje również dyskusyjny problem rozdziału spraw. W środowisku adwokackim, a i w sędziowskim również, można spotkać się z poglądami, że niektórzy sędziowie prowadzą niektóre kategorie spraw. Profesor Kaftal opowiadał kiedyś na zebraniu ZPP anegdotę o jednym z dawnych prezesów jednego z sądów wojewódzkich, który chcąc, żeby zapadł właściwy jego zdaniem wyrok, dawał do przeczytania akta wielu sędziom. Jak się znalazło trzech, którzy podzielali jego zdanie, to im właśnie dawał sprawę. To było chyba dawno, ale i dziś rozdział spraw budzi emocje.

M. K. Powiedzmy sobie, już poważnie, że rzecz jest niezwykle trudna do jednolitego rozstrzygnięcia. Bo przecież sprawa sprawie nie równa. Jedna trwa rok, druga godzinę. I jak tu stworzyć dobry, obiektywny system? Nie ma pomysłu, który by rozstrzygnął rzecz bez wad. Postulowany najczęściej system numerykowy też ma wady i nie zawsze da się stosować. Sądzę, że pewnym panaceum może tu być samorząd mający wpływ na powoływanie kierownictwa administracyjnego w sądach. Ale nawet i to rozwiązanie nie doprowadzi do systemu doskonałego, bo takiego po prostu nie ma. — W istocie bowiem decyduje tu zawsze postawa konkretnego człowieka, tego, który przydziela sprawę, i tego, który ją otrzymuje do rozstrzygnięcia.

*J. Sz. Kiedy Panu sędziemu obrońca pomaga, a kiedy przeszkadza? Jakie warunki powinno spełniać dobre przemówienie obrończe, jeżeli przewód wykazał racje oskarżonego i Pan sędzia ma już wyrobiony pogląd, obrońca zaś mówi długo i wyważa otwarte drzwi, nie wiedząc o tym? Co robi wówczas dobry sędzia?*

M. K. W tym konkretnym wypadku mimo wszystko wysłucham obrońcy do końca. Dla mnie przerywanie i ingerowanie w przemówienie jest przykrą ostatecznością. Mam bowiem świadomość, że gdybym ja przemawiał i ktoś by mi przerwał, zdenerwowałbym się, czułbym się speszony i zbity z pantałyku. Dlatego unikam jak ognia, jeśli to tylko możliwe, przerywania przemówień. Odpowiadając jednak na te pytania szerzej: nie jestem zwolennikiem przemówień wyłącznie negujących. Znaczy to, że oczekuję od obrońcy, aby miał on świadomość, iż ja muszę przecież sprawę jakoś rozstrzygnąć. Jeśli obrońca zbija argumenty oskarżenia,

powinien dobrze wiedzieć, jaka jest moja rola. Powinien wieć nie tylko negocjować, ale starać się zaproponować jakieś konkretne rozwiązanie, bo tylko w ten sposób obrońca rozszerza moje pole myślenia. Nie oczekuję od obrońcy, aby akceptował on akt oskarżenia, bo to byłby absurd, nie oczekuję nawet, by podzielał on moją koncepcję czy wizję sprawy, tylko — żeby rozszerzył moje pole widzenia tej sprawy.

Niech obrońca dostarcza argumentów skrajnych w stosunku do aktu oskarżenia, ale niech dostarcza argumentów prowokujących mnie i cały sąd do myślenia. To jest właśnie podstawowa rola obrońcy. W szczegółach niech wykazuje luki, nieściśności, niekonsekwencje etc. aktu oskarżenia, ale niech czyni to wszystko z myślą o pokazaniu mi koncepcji rozwiązania w granicach tego, co w realiach danej sprawy jest możliwe.

*J. Sz. Czyli Pan sędzia chce mieć z obrońcy pożytek?*

M. K. Tak. Przecież obrońca musi zdawać sobie sprawę z tego, że ja nie mogę cisnąć akt i wyjść z sali bez rozstrzygnięcia. Ja muszę wyjść z wyrokiem, i rolą obrońcy, skoro bierze udział w sprawie, jest przedstawienie argumentów i racji, które będą zgodne z interesem jego klienta, ale w granicach tego, co nam sprawa za sobą niesie. Mądry, doświadczony obrońca to rozumie i tak właśnie konstruuje obronę.

*J. Sz. Założenie koncepcji obrony jest wieć zawsze pewnym ryzykiem?*

M. K. Oczywiście. A sądenie nie jest ryzykiem?

*J. Sz. Skoro to słowo już padło, pozwoli Pan sędzia, że zacytuję człowieka, którego wpływu na sądownictwo przecenić nie sposób. Pisał Mieczysław Szerer: „Sąd zawody, którym nieodłącznie towarzyszy ryzyko, obowiązek narażania się w razie potrzeby na niebezpieczeństwo. Takie ryzyko stanowi o szlachectwie tych zawodów. Strażakowi nie wolno tchórzzyć przed dymem i ogniem. Lekarz nie może odmówić pójścia do zakaźnie chorego. A sędziemu nie wolno troski o utratę pozycji stawiać wyżej niż dbałość o sztywny kark, o nieugiętość postawy wobec zewnętrznych nacisków”.*

M. K. Cóż, sędzia Szerer był dla mnie zawsze wzorem, wieć — nauczycielem. Stwierdzenie, że podpisuję się pod powyższymi pięknie wypowiedzianymi myślami, jest wieć oczywiste. Sędziemu — dobremu sędziemu — potrzebne jest pewne ponadprzeciętne *quantum* odwagi. I to odwagi w podwójnym sensie. Raz, jako odwaga podjęcia decyzji. Ludzie, którzy mają skłonności do odwlekania decyzji, uciekania przed jej wydaniem, nie mają czego szukać w zawodzie sędziowskim. Drugim aspektem odwagi sędziego jest odwaga w szerszym znaczeniu. Czasem trzeba mieć odwagę podjęcia decyzji, która nie spotka się z akceptacją dyszącej nienawiścią sali sądowej, aplauzem różnych środowisk czy władzy wreszcie. Pamiętam, jak paręnaście lat temu wychodziłem z sali dla własnego bezpieczeństwa „pod konwojem” po niewinnieniu kobiety oskarżonej o drastyczne zabójstwo 14-letniej dziewczynki. Proces był wybitnie poszlakowy i to był jedynie możliwy wyrok. Ale sala była żądna krwi. Ten proces zapadł mi głęboko w pamięć, bo przez cały czas jego trwania niemal że fizycznie czułem emanację nienawiści sali do oskarżonej. Wydając ten wyrok byłem w pełni świadomy, że idę pod prąd rwącego potoku nie tajonych emocji. Trzeba wieć mieć odwagę pójść pod prąd wbrew czymkolwiek oczekiwaniom, jeśli sprawiedliwość tego wymaga. Nie mówię już o czasach, kiedy opinia społeczna była urabiana w trakcie procesu, iż nie może w nim zapaść inny wyrok jak tylko ten jeden jedyny, niegdysiejsze zaś „Prawo i Życie”, organ w końcu ZPP, piórem swego ówczesnego redaktora naczelnego przekonywało czy-

telników — jeszcze przed wyrokiem — o konieczności kary śmierci w procesie gospodarczym. Ale, wie Pan, czy to jest właściwie ryzyko? Tak się teraz nad tym zadumałem i sądzę, że to wcale nie jest żadne ryzyko. To sprawa z najgłębszej istoty tego zawodu, to złoty kruszec tej funkcji, jakies elementarne spełnienie powołania sędziowskiego, kiedy trzeba własne odczucie i poczucie sprawiedliwości postawić wyżej niż wizja takich czy innych kłopotów, przykrości czy nieprzyjemności. Trzeba być ponad to.

J. Sz. Często bywa jednak tak, że sala czy część opinii „dyszy” sympatią do oskarżonego właśnie. Ma to często miejsce w procesach o przestępstwa z pobudek politycznych. Potocznie opinie o rygorystyce społeczeństwa ulegają wtedy jakby negacji, choć — jeśli wspominałem już o rygorystyce naszych ziomków — trudno kwestionować wyniki szeregu badań socjologicznych czy szerokich sondaży, z których wyziera zupełnie przerażający obraz społecznych emocji. Skąd to się bierze? I czy ten obraz jest prawdziwy?

M. K. Przy wszelkich zastrzeżeniach do tego rodzaju wizerunków, opartych na wiedzy zdobytej przez socjologiczną ankietę, wydaje się, że istotnie nasz rygorystyzm jest dużo większy niż np. społeczeństw skandynawskich czy anglosaskich. Skąd on się wziął? Ma on swoje głębsze źródła i bierze się stąd, że u nas od trzydziestu paru lat usiłowano z pewnym skutkiem stworzyć przeświadczenie, iż na wszelkie zło polityczne, społeczne czy ekonomiczne, słowem na każde zło najlepszą i nierzadko jedyną reakcją powinna być surowa kara.

J. Sz. Na jednym z posiedzeń sejmowej Komisji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości kilka lat temu usłyszałem zdanie pewnego posła. Cytuję je: „Najlepszą profilaktyką jest surowe karanie”...

M. K. No właśnie. To brzmi dla nas jak dobry dowcip. A jednak dowcipem nie jest. W postulatach wygłaszanych do nas, sędziów, ciągle słyszymy: macie surowo karać. A ja pytam, co to znaczy „surowo”? Sprawiedliwie mamy karać, a więc odpowiednio i zgodnie z prawem, a nie surowo czy łagodnie. Sprawiedliwie! Ale te postulaty nie idą w las. I w społeczeństwie zostaje po nich osad uzewnętrzniający się w postaci owego rygorystyzmu. Że są to przeświadczenia błędne? Że uwzględniają często skutki tylko, a nie przyczyny? Apele o surowe karanie jakby abstrahowały od profilaktyki, od tego wszystkiego, co w nowoczesnej nauce o karze dawno już ustalono, i wreszcie od niedobrych doświadczeń...

J. Sz. Przede wszystkim abstrahują od tego, że jesteśmy krajem produkującym w liczbie skazań i długości wyroków, co jest z drugiej strony wstydliwie skrywane. Choć z tej hipokryzji rozsądne społeczeństwo powinno wyciągnąć jakies wnioski.

M. K. Nie weryfikowałem oficjalnych statystyk i nie mam podstaw, aby je kwestionować. Bardzo mnie jednak irytuje, gdy ktoś „wypomina” sądom, że są za łagodne. Dla zabójców, spekulantów, bandziorów, łapówkarzy, złodziei — wciąż za łagodne. Przede wszystkim — to nieprawda. No, ale cóż. W potocznych opiniach, w społecznych odczuciach prawda nie zawsze święci triumfy. I choć jest część spraw, w których opinie wyraźnie kierowane są przeciwko oskarżeniu, to jednak rygorystyzm naszego społeczeństwa jest faktem. Trzeba go odnotować i wskazywać pozorną jego użyteczność i mielizny, na jakie prowadzi. Zresztą my, sędziowie, nie jesteśmy w stanie odseparować się od tejszej opinii społecznej. Jesteśmy przecież częścią społeczeństwa. Rzecz jednak nie polega na tym, aby opinię tę lekceważyć lub odwrotnie — bezkrytycznie jej ulegać. Sędzia musi traktować opinię jako jeden z elementów, ale nigdy jako dominantę swojego rozumowania, które zaowocuje w wyroku. Stąd czasem nasz wyrok może być zgodny z odczuciem opinii, a czasem



mie, bez względu na to, czy jest to opinia przeciwko oskarżonemu czy przeciwko oskarżeniu, za prokuratorem czy za obrońcą, za skazaniem czy przeciwko skazaniu. To się różnie rozkłada w praktyce. Proces wyrokowania to przecież zbieranie różnych, nierzadko przeciwstawnych racji i wyprowadzanie z nich wniosku, który odpowiada obowiązującemu prawu, stanowi faktycznemu, sędziowskiemu doświadczeniu życiowemu i, przede wszystkim, poczuciu sprawiedliwości, jakie każdy sędzia musi nosić w sobie i niezawśle je realizować.

*J. Sz. Poruszamy się tu w sferze spraw w zasadzie paradoksalnych. Bo co tu mówić o rygoryzmie czy liberalizmie, kiedy samo prawo było i jest niesłychanie represyjne. Popatrzmy chociażby na obecnie obowiązujące nasze ustawodawstwo karne. Zostawmy już zabicie człowieka, zwane w kodeksie karnym karą — to temat do odrębnej rozmowy, jeśli jest tu w ogóle o czym rozmawiać. Przecież represyjność naszego prawa jest od lat niesłychanie wysoka i jak na ironię — nieszczerze skuteczna. Represja, nawet ta najsurowsza, wielu spraw jak dotychczas nie załatwia.*

M. K. Oczywiście, bo nie jest w stanie załatwić. Tylko, wie Pan, surowość naszego prawa, jeśli założyć, że istnieje, może być znowu reliktem koncepcji i tendencji wyrażających się w tezie, że przede wszystkim trzeba karać. Skoro jesteśmy już przy paradoksach proszę zwrócić uwagę, że kiedy mówimy o rygoryzmie społeczeństwa, mamy dalszy paradoks. Bo to samo rygorystyczne społeczeństwo krytykujące nas, sędziów, za rzekomy liberalizm wykazuje zadziwiającą tolerancję i właśnie liberalizm wobec zindywidualizowanych wypadków łamania prawa. Poza przestępstwami bulwersującymi opinię, w których jest ofiara, gwałt, krew, okrucieństwo etc., mamy do czynienia z bardzo szerokim zjawiskiem niesłychanej tolerancji i wyrozumiałości dla łapownictwa, dla złodziejstwa i paserstwa, jeśli nie dotyczy ono mienia prywatnego, i dla tych wielu innych plag, które nas w końcu wszystkich trapią i w nas godzą.

*J. Sz. Tu bym widział przyczyny bardziej złożone, choć dialektycznie 'dość proste. System wychowawczy wpajający przekonanie o wyższości własności społecznej nad prywatną — wyraźnie widoczny, właśnie w prawie karnym — święci tu triumfy. Dlaczego od dziecka w szkole wymaga się, aby nie niszczyło ławki, bo to własność społeczna? Może wystarczy powiedzieć mu, że to jego ławka, a wówczas potraktuje ją tak jak swój tornister. Ale tu wchodzimy w nowy temat-rzekę, do którego warto będzie kiedyś powrócić.*

„Palestra” jest pismem środowiska, które jest zainteresowane swoim wizerunkiem w oczach innych, w tym także sędziów. Nie mogę więc oprzeć się pokusie zadania Panu sędziemu pytania, na które odpowiedź niech będzie przyczynkiem do toczących się obecnie na tych łamach dyskusji o nowym prawie o adwokaturze. Jak Pan ocenia nowe prawo o adwokaturze z wysokości stołu sędziowskiego?

M. K. Nie wiem, czy moja wypowiedź będzie przyjęta z aplauzem przez adwokatów, ale mój stosunek do nowej ustawy jest raczej letni. To może paradoks, że jako prawnik nie przywiązuję jakiegś nadmiernej wagi do takich czy innych uregulowań ustawowych, instytucjonalnych. Na pewno jest to ustawa dużo korzystniejsza dla adwokatury niż poprzednie. Nie wiem jednak, czy akurat w tym okresie trzeba było uchylać tę ustawę, czy nie trzeba było poczekać.

*J. Sz. Była obawa, że im później, tym mniej zostanie z rozwiązań postulowanych przez środowisko adwokackie i światłą część opinii publicznej.*

M. K. Nie wiem. Mam pewne wątpliwości, ale jest to moja osobista opinia, przy której nie będę się upierał, skoro nowa ustawa już obowiązuje. Dla mnie najważ-

niejsze jest, jacy ludzie będą wykonywać zawód adwokata bez względu na to, jakie uregulowania będą miały miejsce. Oczywiście, jeżeli te rozwiązania będą korzystne dla zawodu i jego samorządności, to bardzo dobrze. To może tylko pomóc. Najważniejszą jednak rzeczą jest, moim zdaniem, wpływ środowiska na swoje oblicze i kształt osobowy oraz na to, aby znaleźli się w nim ci, których środowisko akceptuje z punktu widzenia wymagań moralnych i kwalifikacyjnych, a nie ci narzuceni z zewnątrz. Tak jak to bywało wówczas, kiedy nie nadający się do innych zawodów prawniczych łądownali czasami w adwokaturze. Ale wie Pan, z adwokatami jest trochę tak jak z niezawisłością sędziowską. I tu, i tam były i są wielkie wołania o instytucjonalne gwarancje. Ja powtarzam do znudzenia: te wszystkie bardzo ważne, ale niezawisłość to przede wszystkim sprawa charakteru. Nie pomogą najlepsze instytucjonalne rozwiązania, jeśli o tu — w sercu i sumieniu — nie będzie należycie poustawiane. Oczywiście proszę nie traktować tego, jako mojego *désintéressement* wobec ustawowych instytucjonalnych gwarancji, ale w sumie bardziej rzecz w charakterze człowieka niż w prawie go dotyczącym. Jestem więc za jak najszerzym upodmiotowieniem adwokatury i tworzeniem wszelkich gwarancji dla jej istotnej roli. Twierdzę jednak, że nie to ma decydujące znaczenie. Decyduje bowiem przede wszystkim człowiek — jego rozum, serce i sumienie.

*J. Sz. Dziękuję Panu sędziemu za rozmowę.*

Rozmawiał Jerzy Szczęsny

FELIKS ZEDLER

## NIKTÓRE CYWILNOPROCESOWE PROBLEMY OCHRONY PRAW KONSUMENTA

*W artykule omówiono wybrane zagadnienia ochrony praw konsumenta w toku postępowania reklamacyjnego oraz w drodze powództwa o ustalenie, że egzekwowana w trybie egzekucji administracyjnej należność nie istnieje. Ponadto przedstawiono niektóre problemy efektywności sądowego postępowania cywilnego dla ochrony praw konsumenta.*

### I. WSTĘP

Słowo „konsument” ma kilka znaczeń.<sup>1</sup> Dla uniknięcia nieporozumienia termin ten będzie używany w opracowaniu niniejszym na określenie nabywcy rzeczy lub na określenie osoby na której rzecz świadczono usługę w szerokim tego słowa znaczeniu. Poza tym chcę z góry zaznaczyć, że rozważania niniejsze zostaną ograniczone jedynie do tych wypadków, gdy nabywcą jest osoba fizyczna albo gdy usługi świadczono też tylko na rzecz osób fizycznych.

<sup>1</sup> Mały słownik języka polskiego (pod redakcją S. Skorupki i H. Auderskiej, Warszawa 1968, s. 297) podaje takie znaczenie słowa „konsument”: „spożywca, użytkownik dóbr, nabywca towarów na własny użytek.”